

ANDRZEJ KWIATEK

Ulica Piłczewskiego, 2001 r.

Czas

Czteropiętrowe bloki z wielkimi czarnymi numerami na szczytowych ścianach wylaniały się z wolna z szarej zawiesziny. W drzwiach klatek pojawiali się facce buchający pierwszym dymkiem i kobiety stukające twardymi obcasami. Znaną wszystkim zgarbioną sylwetkę dziadka Zajęca z „dziesiątki” ciągnął ruchliwy jamniczka na środek zadrzewionego skweru pomiędzy blokami.

Hydraulik Olczak minął „pieprzona jedenastkę”, która została wybudowana jako ostatnia pod koniec lat osiemdziesiątych i zasłoniła resztki horyzontu od wschodniej strony. Przeszedł wzdłuż „ósemki” z mini ogródkami pod oknami na parterze i wyszedł na Piłczewskiego. Od dziesięciu lat z hakiem jest to osobiwa ulica. Niektórzy ludzie nazywają ją ulicą Piłczewskiego. Za komuny nosiła imię Świerczewskiego. W dziewięćdziesiątym roku uroczyste, z biskupim kropidłem i „Pierwszą brygadą” strzelającą ku niebu z lśniących trąb strażackich, przywrócono dawną nazwę „Ul. J. Piłsudskiego”, gubiąc niechcący pierwszą literę drugiego imienia marszałka „K” – jak Klemens. Przyczepiono nową tablicę jedynie na pierwszych dwóch narożnych domach i pojechało dalej. Gdzieś tam dalej. Ulica nie ma zwartej zabudowy. Pomiędzy starymi domami i jednopiętrowymi kamienicami wyrosło ostatnio sporo nowych domków, więc w efekcie, z grubsza biorąc, do dziś na co trzecim domu jest tablica z nazwiskiem marszałka, na pozostałych – generała.

Przed laty, gdzieś tutaj w przydrożnym rowie, stary Czajka paliwał łaciatą krowę. W miejscu gdzie stoi osiedle, szumiały łany żyta, albo stał się ciemnozielony kobierzec kartoflanych krzaków obsypanych na wiosnę drobnymi, bladoróżowymi kwiatkami. Uprawiane na przemian przez Czajkę były podstawą wyżywienia jego dwóch krów holenderek, konia i stadka świń. Świnie uzupełniały dietę uległkami spadającymi obficie z kilku rozłożystych drzew za oborą. Pod koniec lat sześćdziesiątych rozrastające się miasto pochłonęło wiele takich zagrod, skutkiem czego coraz rzadziej widywało się wieczorem ludzi idących z banikami po mleko prosto od krowy. Boom na podwórkowe komórki, w których hodowano króliki i drób, też powoli mijał – komórki wysprzątano i wstawiono do nich rowery męskie z ramą i „damki” bez ramy, niektóre z doczepionymi nad przednim kołem silniczkami, motorowery – najpierw simsony, później komary, motory wufemki, eschaelki i coraz częściej czerwone jawy oraz zielone emzetki. Z dachów komórek zaczęły zniknąć druciane arfy i na niebie już tylko z rzadka pojawiała się chmurka złożona z garłaczy, krymków i wajsfigli, pobłyskująca srebrnym brzuchem nad lasem anten telewizyjnych. Na polu Czajki powstał plac targowy, który zapewniał się dwa razy w tygodniu chłopskimi furmankami. Rychło plac zlikwidowano i przystąpiono do budowy osiedla.

Ciężkie, drewniane koła z żelaznymi

obręczami ustępowały szybko kołom gumowym, kocie lby i kałuże błota zniknęły pod asfaltową powłoką, co w efekcie sprawiło, że słowo „turkot” stawało się coraz bardziej archaiczne; słychać teraz było jedynie przytłumiony stukot końskich kopyt i rytmiczne uderzenia orczyka o dyszel. Stały w szeregu owe gumki przed kościołem w niedzielę, z kozłami przykrytymi pasiakami, ze sterzącymi batami z rzadka ozdobionymi kolorowymi pomponami. Stały na podwórkach, przed domami i sklepami, przychodnią lekarską, a nawet przed okazalszym niż inne gmachem z czerwoną flagą powiewającą na dachu. Ich właściciele w miarę upływu czasu poruszali się coraz swobodniej i pewniej, tym bardziej, że właściwie byli wśród swoich. Marysia Kurkówna i Stefa Kot szczebiotały i skrzeczały za okienkiem na poczcie jak dwie sroki; Mięciel pierś przeżył i wąsiska zapuścił, gdy tylko awansował na zastępcę komendanta straży pożarnej. Jako człowiek muzyczny, został też prawą ręką pana Więclawskiego, starego przedwojennego kapelmistrza i wraz z nim prowadził orkiestrę podczas rozmaitych uroczystości.

W ciągu dziesięciu, może piętnastu lat, liczba mieszkańców się podwoiła. Chłopi zespalali się z miastem coraz silniej i intensywniej, udzielając mu swojego ciała i swojej duszy. Chłopaki już tylko z rzadka polowali na „chamów” w parku, częściej spacerowali z nimi w dni targowe, szukając miejsca do wypicia. Z reguły pracowali razem w Metpolu, mieli więc wspólne tematy do rozmowy. Ich języki przenikały się nawzajem tworząc syntezę, wymierny efekt klasowego sojuszu, pobrzmiewającą jednym tonem w promieniu kilkunastu kilometrów. Władek mieszkający w samym centrum, z upodobaniem sięgał po zwroty typu: „rozkraczył się jak krowa”, „dorwał się jak świnia do koryta”, zaś Broniek z Dziurdiol mawiał o „absolutnej konieczności rozwiązania problemu mieszkaniowego”. Jedynie w okresie zniw odżywały sprzeczności, budziły się atawizmy – najbardziej w Metpolu: „Chamy koszą, młóca, a do fabryki przyjeżdżają odpoczywać. A jak normę dyrekcja podniosła, to nie protestowali, w dupę jebani. To co, my mamy zapierdalać, a knioty będą leżeć? Jeszcze mieszkania zakładowe im przydzielają, kurwa mać. Niby na chorobowe poszedł, a u siebie w polu zaiwania jak dzika świnia.”

Obyczajowość przywdziewała nieopatrzenie nowe szaty o jaskrawszych, krzyczących barwach. Na przykład śmigus dyngus koncentrujący się nigdyś w rynku i przylegających do niego wąskich uliczkach, świętowany wodą z niedużych pojemników, przenosił się na osiedle, gdzie z balkonów wylewano wiadrami hektolitry. Święte obrazy noszone z klatki do klatki, z mieszkania do mieszkania, zdawały się krążyć bez przerwy, jako że bloków przybywało i potrzeba było coraz więcej świętej kredy na kreślenie nad drzwiami inicjałów owych trzech przykładowych władców, którzy wierze, prawdzie i moralności prymat dali nad polityką.

Wokół bloków wyrosły szybko strze-



liste topole, u ich stóp pozlepiane w długie szeregi garaże, szare, z płaskimi dachami, metalowymi drzwiami, przypominające wojskowe hangary, z których lała chwila wyjechać mogą z hukiem opancerzone wozy bojowe. Naprawdę wyjeżdżały w kłębach niewinnego jeszcze wtedy szaromlecznego dymu dygoczące syrenki, drżące trabanty i wartburgi oraz bardziej pewnie siebie zastawy i skody.

Po drugiej stronie ulicy był kiedyś ogród Melcera, przepastny i tajemniczy. Dostępu do jego środka, zamieszkałego, jak chciała dziecięca wyobraźnia, przez kogoś w rodzaju króla Huka-Puka, broniły dostępu na wpół zdziczałe drzewa, krzewy, trawy i pnącza. Wysokie jak dęby jabłonie, pośród których królowała Różanka Modrzejewskiego, gdzie indziej już zapomniana albo nieznana w ogóle. Nie ustępowały im wielkością i rozłożystością włoskie orzechy o uschniętych, szponiastych konarach, pośród których, tu i ówdzie, próbowały raz jeszcze wznieść się ku słońcu nowe gałązki.

Ogród wydawał się nieprzemijający. A jednak i on musiał ulec pod naporem ciągników i spychaczy na gąsienicach. Rozpoczęto budowę szkoły w ramach ogólnokrajowego przedsięwzięcia „Tysiąc szkół na Tysiąclecie”. Kilka kolejnych lekcji wychowania fizycznego w technikum zamieniono w „czyn milenijny”. Chłopaki dostali szpadle i musieli kopać, a właściwie pogłębiać i rozszerzać dół po ogrodowym stawie, gdyż planowano w tym miejscu zrobić miejskie lodowisko.

Tysiąclatkę skończono przed terminem i chociaż leżało wokół mnóstwo wykarczowanych pni, a na boisku ludzie tonęli w błocie, to dokonano uroczystego przecięcia biało-czerwonej wstęgi przy dźwiękach orkiestry strażackiej pod batutą zasapanego Mięciela, który robił, co mógł, aby upodobnić się do kapelmistrza Więclawskiego. Jakimś niepojętym sposobem nawet nadmiar tłuszczu na karku w postaci nabrzmiałej, zaczerwienionej fałdy wylewał mu się, jak Więclawskiemu, na ciasno zapięty kołnierzyk koszuli. Tak samo próbował broń podnosić do góry i tak samo powoli obracał oblicze w stronę zebranych notabli, by ledwie widocznym skinieniem głowy wyrazić gotowość orkiestry do wypełnienia swojego zadania. Dopiero gdy ruszał z miejsca, widać było w mocno do środka, jak u indianina, stawianych stopach, że to nie stary przedwojenny kapelmistrz, lecz Mię-

ciel z Osowic, który całe dzieciństwo przechodził na bosaka.

Tego samego roku pod koniec listopada zaczęły pracować trzy pompy strażackie. Z trzech gardzieli karbowanych węży chlustała woda do wykopu przez cały dzień i nie było widać żeby jej przybywało, może dlatego, że nie było również widać, aby cokolwiek ubywało w rzece, w której płytki nurt wessały się pompy. Ale na drugi dzień koło południa dno wykopu wypełniła srebrzysta tafla i choć wody było zaledwie na stopę, to już nie można było wątpić, że lodowisko będzie. Do wieczora ekipa z energetyki wkopała dookoła sześć betonowych słupów, na których zawisły płaskie talerze lamp z gruchami mlecznych żarówek. Trzeciego dnia wody było już chyba na metr, bo brzegi wykopu nie wydawały się już tak wysokie, mimo to, aby schodzący na lód ich nie niszczyli i nie nosili piachu, zainstalowano przezornie z kilku stron drewniane stopnie. Z nastaniem mrozów lodowisko zaczęło tętnić życiem.

Oznaczono trzymetrowej szerokości tor, po którym krążyli zgięci w pół panczeniści, nie na próżno, jak się już następnej zimy okazało, bo niektórzy z nich sięgać zaczęli po najwyższe laury w zawodach krajowych. Zaczęli się również pojawiać ma łodzie osobliwi goście zapraszani przez sportowych działaczy – wielkomięscy figurowi łyżwiarze o smukłych nogach i szczupłych sylwetkach, sunący w rytm głośnie muzyki. W kolorowych, zwiewnych strojach, przypominali zaczarowane kwiaty na balu u Królowej Śniegu. Po ich niedzielnych występach przybywało ochoczych nastolatek starających się jeździć z większą gracją i próbujących wykonać niektóre zapamiętane ewolucje. Chłopaki popisywali się skokami z jednym obrotem oraz jazdą tyłem z dużą prędkością.

Hydraulik Olczak przystanął nad basenem dawnego lodowiska w jednej trzeciej zasypanego śmieciami, gruzem i ziemią. Pomyślał o zwodniczej naturze czasu. Przez całe życie wydawało mu się, że przypomina on smukłe jak jodła drzewo, wznoszące się ku górze. Wciąż wyżej i wyżej. A ze szczytu owego drzewa roztacza się horyzont – coraz szerszy i szerszy. Teraz wiedział, że jest inaczej – czas nie jest rozpalającym się coraz silniej płomieniem, bardziej przypomina blade światło lampy na rozchybotanej łodzi, znikające i wynurzające się z ciemności na krótko. Splunął na śmieci i podążył szybkim krokiem do Myształa „na robotę”.

Lis Libijski

Na rogu Solidarności i Piłczewskiego natknął się na wychudłego Lisa, który stał przed oszklonymi drzwiami biura turystycznego. Lis studiował najnowsze oferty wyjazdowe i podziwiał hawajskie plaże na plakatach, piramidy egipskie oraz australijską rafę koralową. Jego poczemniała, zasuszona twarz, porośnięta siwym rzyskiem, uśmiechnęła się przymilnie na widok kolegi i zaświstała bezdźwięcznie:

- Do Myształa walisz? Uważajcie, żeby was nie wykołował. To kawał sukiny-syna. Malowałem kiedyś u niego bramę. Do dziś mi wisi dwadzieścia złotych...

- Gocura nie wykołuje – powiedział Olczak. Siegnął ręką do kieszeni, wy-macał pięćzłotówkę pośród drobnych, i trzymał ją w pogotowiu.

- Bo Goc się nie patyczkuje. Jak do czego dojdzie, to w mordę walnie i po krzyku. He, he – błysnął Lis dwoma samotnymi i poźółtkami kłami, pomiędzy którymi drgał szarosiny język. W kąciach jego popękanych ust tkwiły żółta tytoniu. Olczak zaśmiał się również, nie do wtóru, lecz na wspomnienie kandydatury Lisa na członka załogi w czasach, kiedy marzyło się o rejsie dookoła świata.



Ze trzydzieści lat temu, po powrocie z libijskiej budowy, miał trochę forsy i uchodził za człowieka światowego. Podobno pewien ślepy na jedno oko beduin nauczył go, jak obchodzić się ze skorpionami. Gdy już was gadzina gdzieś przyspili, opowiadał zaciekawionym chłopakom, wybebeszcie od razu wielbłąda i przyłóżcie do rany świeży kawał wątroby. Nie było powodu wątpić w umiejętności Lisa, jako że wiedział wszystko o rakach rzecznych i jeziorowych. Nie miał sobie równych w ich łowieniu o każdej porze dnia i nocy. Właśnie dlatego zainteresował się w Libii skorpionami.